

JACEK DEHNEL

NIECO STARSZY KSIĘGOWY

FELIETONY O KSIĄŻKACH, CZYTANIU I PISANIU

TOM 2

To jest darmowy fragment zbioru felietonów.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw, co jeszcze się tam dzieje,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art

Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

WSTĘP

Trzynaście długich lat minęło od publikacji *Młodszego księgowego* – wtedy miałem trzydzieści trzy lata i byłem nadal „dobrze zapowiadającym się młodym pisarzem", teraz mam lat czterdzieści sześć i znalazłem się na tym trudnym dla każdego twórcy drugim okrążeniu, kiedy czytelnicy mają poczucie (często błędne), że wiedzą, czego się – dobrego lub złego – spodziewać po każdej nowej książce, kiedy środowiskowe animozje rozkwitły, wydały pąki, kwiaty i obfite owoce, a krytycy mają już opinię na tyle ustaloną, że mogą pisać recenzje, praktycznie nie interesując się specjalnie przedmiotem recenzji. Gdzieś w oddali majaczy okrążenie trzecie, na którym – jeśli się do niego w ogóle dotrwa – albo spada się do kategorii „słusznie zapomniany literat minionej epoki", albo awansuje się do „naszych wielkich, dziś już takich nie robią". Ale to jeszcze trochę.

Pierwszy tom *o książkach, czytaniu i pisaniu*, czyli *Młodszy księgowy*, był bardziej homogeniczny, bo zawarte w nim teksty z lat 2007–2012 pisałem głównie do działu „Książki" w portalu Wirtualna Polska; a do tego doszło raptem parę felietonów z „Polityki". Tym razem źródła są znacznie obfitsze: to teksty powstałe w czasie ostatnich trzynastu lat, nie tylko dla „Polityki", ale i dla „Gazety Wyborczej" (stołecznej i głównego wydania), „Charakterów", portali Lubimy Czytać i NaTemat, nie mówiąc już o felietonach, mowach, wykładach pisanych z najrozmaitszych okazji i zamawianych przez najrozmaitsze redakcje oraz

instytucje. A nawet dziergane ot tak, dla siebie, i publikowane na fejsie albo nigdzie zgoła.

Żaden tekst nie istnieje w próżni – dzieła, które opisałem w *Nieco starszym księgowym*, ukazywały się w przedrewolucyjnej Francji, w zaborze rosyjskim i austro-węgierskim, w USA doby Gilded Age, po wojnie po obu stronach żelaznej kurtyny, w tym w naszym rodzimym baraku, czyli w PRL-u, i w zupełnie współczesnej Polsce, która bywała czasem III, a czasem IV RP. Zawsze i wszędzie wpływały na nie miejscowe warunki: obyczaje, mody, zapisy cenzury, wobec których autorzy wykazywali się koniunkturalizmem lub buntowniczością.

W naszych czasach nie jest inaczej – moje felietony też nie powstały w próżni. Wspomniałem o IV RP, ponieważ wiele z nich zostało napisanych w czasie ośmioletnich rządów PiS-u, który kulturę traktował poważnie. Dodać muszę: *niestety* poważnie, ponieważ oznaczało to wcale nie poważne i rozważne dofinansowanie kultury, tworzące warunki do jej gwałtownego i nieskrępowanego rozwoju, tylko szeroko zakrojony projekt wymuszonej przebudowy, polegający na państwowej cenzurze i „wymianie elit". Była to jednak, jak szybko się okazało, wymiana siekierki na kijek, a bywało, że i na sztachetę.

Cały charakter tamtej dekady – ze sporami polsko-polskimi, z nowomową Partii, z głębokim zanurzeniem w mediach społecznościowych – oczywiście znajduje odbicie w *Nieco starszym księgowym*. Jeśli zatem ktoś liczył, że autor nie będzie się wychylał ani psuł samopoczucia ewentualnym czytelnikom z obozu suwerena, zostaje ostrzeżony już teraz. Autor się wychyla, ma za złe i nie zamierza się uginać dla wyższej sprzedaży, ponieważ handluje tu swoim tekstem, czymś osobiście mu drogim i osobiście ważnym, a nie mdłym budyniem czy pomidorową z ryżem, które mają smakować każdemu.

Przede wszystkim jednak jest to zapis kilkunastu lat moich przygód, przygód z książkami, z językiem polskim (a czasem i angielskim) w najróżniejszych jego formach, pięknych i paskudnych, wybitnych i grafomańskich – a punktem wyjścia do tych przygód było i jest moje głębokie przekonanie, że nawet z dzieł najgłupszych i najbardziej nietrafionych można nieraz wynieść jakąś cenną wiedzę.

To akt strzelisty miłości do słowa pisanego, literatury, bibliotek, do ich dziwności, wyjątkowości i wszystkich wspaniałych rzeczy, które robią z nami i z naszym życiem.

Jacek Dehnel

WAZA PNINA

Większości najwspanialszych wydarzeń w moim życiu nigdy nie przeżyłem.

To znaczy nie przeżyłem ich w takim sensie, w jakim na ogół rozumie się to pojęcie: to nie ja, własnymi stopami, stałem na tym placu, oddzielony od niego tylko cienką warstwą skarpetek i butów, to nie moje wargi całowały się z tamtymi wargami, to nie mój przewód słuchowy przekazał te drgania powietrza młoteczkowi, kowadełku i strzemiączku, by one z kolei podały je dalej, do mózgu. W ogóle żadnej z tych rzeczy nie doznawałem moim ciałem (które i tak zresztą składa się głównie z pustki oddzielającej jądra atomów od elektronów). Przyszły do mnie przez czarne znaki drukowane na papierze. Przez książki.

Równocześnie jednak przeżyłem je w tym głębszym sensie; należą one do żelaznego kapitału najprawdziwszych wspomnień z różnych okresów mojego życia. Kiedy miałem szesnaście lat, bywałem w Paryżu w salonie nieznośnej pani Verdurin i rozmawiałem z ujmującym i strasznym zarazem baronem de Charlus; jako osiemnastolatek przebiegłem całe życie Elizabeth Hunter i jak ona umierałem, zanurzony w sklerozie, a pamięć przynosiła mi strzępki scen z mojej przeszłości; jako dwudziestodwulatek byłem angielskim nauczycielem w Aleksandrii, wzdychającym do żony koptyjskiego bankiera. Pamiętam osoby, smaki, wnętrza, słowa. Czy je zapominam? Owszem, podobnie jak zdarzenia z „prawdziwego życia". O ile jednak tych nie mogę

przeżyć na nowo – o tyle w każdej chwili mogę sięgnąć na półkę, otworzyć *Justynę*, *Oko cyklonu* czy *W cieniu zakwitających dziewcząt* i przypomnieć sobie dokładnie sylwetkę odrażającego Capodistrii czy wzór na sukni żony Elstira. Wiele moich „prawdziwych" wspomnień przepadło – życie, czyli maszyna nieustannie generująca zdarzenia, musi przegrać ze szczupłością przestrzeni magazynowej w mózgu – ale wiem, że są literackie sceny, które z mojej pamięci wytnie dopiero śmierć lub ciężka demencja.

Nie żebym narzekał, że moje życie jest nieciekawe – mam urozmaiconą pracę, wspaniałych przyjaciół i związek, wreszcie lubię podróżować, a mój zawód i czasy, w których żyję, ogromnie mi to ułatwiają. Ale to, co widziałem na własne oczy, i tak ustępuje wielokrotnie temu, co przeczytałem. Nawet gdybym był obrzydliwie bogaty, nie mógłbym wykupić biletu do XVII-wiecznej Wenecji i wysłuchać fenomenalnego koncertu, podczas którego grali ze sobą najwięksi mistrzowie epoki: Vivaldi, Scarlatti i Haendel, a towarzyszyła im nieziemsko piękna orkiestra żeńskiego sierocińca. Więcej: nawet gdyby pojutrze Elon Musk opatentował podróże w czasie i umożliwił nam – za stosowne miliony – takie wyprawy, to tamtego koncertu wysłuchać bym nie mógł, bo w rzeczywistości pozaksiążkowej nigdy się nie wydarzył, istnieje wyłącznie na papierze, zapisany przez Alejo Carpentiera po hiszpańsku na sześć lat przed moim urodzeniem.

Mniejsza o mnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, by czyjekolwiek życie wytrzymało w zestawieniu z nieskończonymi możliwościami, jakie dają książki. Nie żebym namawiał do porzucenia rzeczywistości i zagrzebania się w bibliotece. Ale życie *dotykalne* i życia *papierowe* – w liczbie mnogiej, koniecznie! – dopełniają się w unikalny sposób. Ani pierwszego, ani tych drugich nic nie zastąpi.

* * *

Trudno, jak sądzę, zrozumieć, czym jest czytanie, tym – a jest ich coraz więcej – którzy wprawdzie nie składają już liter czy słów, ale nadal odczuwają samą *czynność* czytania. Żeby przestać ją dostrzegać, trzeba przebyć ileś setek, a pewnie i tysięcy stron (tymczasem niedawno słyszałem od wykładowczyni akademickiej, że z roku na rok przybywa studentów, którzy poproszeni o zapoznanie się z jakimś tekstem na zajęciach, mamrocą pod nosem, bo stracili nawet umiejętność cichego czytania). Dopiero wówczas czarne znaki na białym tle wyświetlają się nam wewnątrz głowy jak film, ruchome, barwne obrazy, które biorą się tyleż z samego tekstu, co z naszej pamięci i wyobraźni.

Niby można powiedzieć, że mamy różne media i nie musimy się męczyć z papierem albo czytnikiem, skoro istnieją kino i telewizja, a internet dostarcza nam niezliczonych śmiesznych filmików z kotami. Sam jestem zapalonym kinomanem – a jednak zdaję sobie sprawę, że nawet gdybym odrzucił w tym bilansie filmiki z netu czy telewizję i poprzestał na filmach, ba, na filmowych arcydziełach, to pochodzące z nich sceny wciąż będą mniej *moje* niż sceny z książek. Jeśli bowiem Fellini to, a nie co innego kazał wymalować na podziemnych freskach osypujących się w początkowej scenie *Rzymu*, a Bergman tak, a nie inaczej usadził rycerza i śmierć, to te kształty i pozy na zawsze pozostaną niezmienne, zgodne z tym, co mi wyświetlili. Książkę z kolei wyświetlam sobie sam. Mogę wrócić do Wolanda, ale choć Bułhakow opisał jego strój dość szczegółowo, to przecież główka laski z pudlem i dokładny odcień garnituru za każdym razem mogą być inne; wydaje mi się, że zapamiętałem dokładnie scenę stworzoną w głowie podczas pierwszej lektury – ale Woland czytany w wieku lat szesnastu i Woland czytany w wieku lat sześćdziesięciu okażą się zapewne inni. Za każdym jednak razem – w przeciwieństwie do postaci i miejsc z filmów Bergmana czy Felliniego – ich widmowe kształty będą *moje*.

Gdybyśmy dysponowali jakąś wspaniałą aparaturą, która, podłączona do mózgu czytelnika, wyświetlałaby na ekranie film powstający podczas lektury, moglibyśmy usadzić piętnaście osób, dać im do czytania tę samą scenę z rycerzem wspinającym się po schodach do komnaty na szczycie wieży, gdzie uwięziono księżniczkę – i zobaczylibyśmy piętnaście różnych filmów. Wieża byłaby okrągła lub kanciasta, rycerz wbiegałby od lewej lub od prawej, z mieczem lub bez niego, z szyszakiem lub z gołą głową, ostrzyżony na krótko lub ze złotą grzywą, księżniczka siedziałaby w koronie lub w wysokim henninie, w sukni zielonej lub błękitnej, a może stałaby przy stole, a może patrzyłaby, rozmarzona, przez okno. A może sama czytałaby książkę, tak tym pochłonięta, że nie dostrzegłaby rycerza, a dostrzegłszy go, kazałaby mu się wynosić, bo czyta?

Gdybyśmy w piętnaście osób przy jednym stole czytali *Miłość w czasach zarazy*, każdy z nas widziałby inną Ferminę Dazę; gdybyśmy z kolei oglądali adaptację z Giovanną Mezzogiorno, każda fałdka jej sukni, każdy błysk w jej oku byłyby dokładnie te same.

Nie tylko bowiem *pisanie*, ale i *czytanie* jest aktem twórczym.

Wrócę do mojej ukochanej sceny, o której pisałem w pierwszym tomie tych felietonów. Jest wieczór; podstarzały profesor uniwersytecki Pnin zmywa po przyjęciu, podczas którego jego największą dumą był wspaniały prezent otrzymany od pasierba, secesyjna szklana waza do ponczu. W pewnej chwili przez nieuwagę upuszcza dziadka do orzechów w zalegającą zlew pianę, słyszy trzask pękającego szkła i rozumie, że waza właśnie przestała istnieć. Minęła, podobnie jak całe przyjęcie. Zrozpaczony sięga w pianę i czuje, że pękł tylko kieliszek, a przedmiot jego uwielbienia został cudownie ocalony.

Znam tu wszystko – znacznie więcej, niż Nabokov faktycznie zapisał – aż po żółtawy odcień starego emaliowanego zlewu, nad którym Pnin się pochyla i znajduje nietkniętą wazę, wiem,

gdzie stoi kuchenka, a przede wszystkim doskonale pamiętam tę zapierającą dech euforię, w którą wprawił mnie ten fragment, kiedy czytałem go po raz pierwszy. I jestem przekonany, że jeśli będę kiedyś leżał, jak wiekowa Elizabeth Hunter, pod opieką pielęgniarek, a mózg będzie mi podsuwał resztki mojego życia, to, co *dotykalne,* będzie współistniało z tym, co *papierowe*. Może i zapomnę dokładny rozkład mieszkania, w którym spędziłem pierwsze lata życia, kolor kuchennych firanek, imiona niektórych ukochanych, ale jestem pewien, że waza Pnina ze mną pozostanie.

Kultura u Podstaw, 2017

JAK PISAĆ BEZ KONTRABASU?

Jesień to pora literackiego wzmożenia i programy książkowe wychodzą jak grzyby po deszczu; do tego w tym roku wraz z jesienią zbliża się premiera mojej nowej powieści[7] – zatem jeśli nie idę do radia, to radio przychodzi do mnie, jeśli nie udzielam wywiadu na żywo, to przynajmniej na martwo, czyli e-mailowo. Nie żebym się chwalił, bo żaden to powód do dumy, po prostu informuję: przegląd fotografów, operatorów, dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych, a przede wszystkim strategii prezentowania literatury w mediach, mam ostatnio duży.

Ale nie tylko ja przeglądam, również ekipy zerkają po sobie nawzajem, starają się pokazać coś, czego nie pokazały inne. Panowie zostawiają kamery w przedpokoju, chodzą to tu, to tam, usiłują na naszych niecałych sześćdziesięciu metrach kwadratowych wynaleźć jakiś zakątek, którego jeszcze w innych programach nie pokazano. Czasem nawet ktoś dzwoni zawczasu z ustaleniami, jak pani, która ma nakręcić materiał o mojej ostatniej książce poetyckiej.

– Proponujemy spotkanie w zakładzie krawieckim – mówi – takim tradycyjnym, robiącym ubrania na miarę.

– Nie, dziękuję, ja w życiu nie szyłem sobie garnituru na miarę. Zresztą nie o tym przecież mam mówić.

– Ale bardzo nam zależy. To nie będzie tak ogólnie, tylko zbliżenia. Fastryga, guzik.

7 Była to *Matka Makryna* (Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2014).

– Rozumiem – odpowiadam cierpliwie – ale ja nie zajmuję się ubraniami, tylko pisaniem wierszy.

Z bólem, narzekaniami odpuszcza. Zjawia się trzy dni później, panowie zostawiają kamery w przedpokoju, chodzą... Znana sprawa.

– Mam taką propozycję – zagaduje tymczasem reżyserko-dziennikarka – żeby pan jednak się zgodził na ten zakład krawiecki. Pan jest znany ze sposobu, w jaki się pan ubiera.

– Wolałbym nie – mówię z cierpliwością Bartleby'ego. – To, jak się ubieram, nie ma najmniejszego znaczenia dla tego materiału. – Widzę jednak, że to nie wystarcza, więc dodaję: – Mój chłopak by mi nie pozwolił, on tego nie znosi.

Piotra na szczęście akurat nie ma w domu, więc może służyć jako groźny straszak. Skutkuje. Pani omiata mieszkanie niezdecydowanym wzrokiem:

– Ech, no tu już była ekipa od nas i wszystko obfotografowała...

– Możemy wyjść – mówię – na spacer.

– Nie, nie, to wykluczone! Mam zrobić materiał o pięciorgu poetach i trzech już mi spaceruje.

Rozkładam ręce.

– Ale zróbmy inaczej – proponuje. – Niby wychodzimy na spacer, ale muszę tam pana wyprowadzić. Pan się ubiera przed lustrem, wiąże muszkę, zakłada marynarkę, kapelusz...

– Nie. Rozmawiamy o poezji. A nie o ubraniach. Mam dość tego, że cały czas ubrania i ubrania.

Problem, jak pokazać poetę. Problem nie do przejścia właściwie.

– A nie pali pan papierosów? – włącza się kamerzysta.

– Nie. Fajki też nie.

Zawód na twarzach, jakby dziecku lizaka wyrwać.

– Proszę pani, ja wykonuję nieciekawy wizualnie zawód. Nie rzeźbię, nie maluję, pisanie to klepanie w klawiaturę, nic ciekawego. Ciekawe jest czasem to, co powstaje, a nie sam proces.

– A może gra pan na jakimś instrumencie? – dorzuca ktoś z ekipy. – Może kontrabas?

– Nie – wyjaśniam z cierpliwością mistrza zen – nie gram na kontrabasie ani na innym instrumencie.

– Nie pali pan fajki, nie gra na kontrabasie... – mówi pani rozżalonym głosem. Urywa. Jest w kropce.

Coś tam filmują, jakoś sobie radzą, posłusznie przechodzę z miejsca na miejsce, udaję, że czytam książkę, udaję, że patrzę, zamyślony, przez okno. Potem siadam na kanapie i odpowiadam na pytania. A im dłużej odpowiadam, tym bardziej jestem na siebie zły, że odpowiadam. Bo brzmią one na przykład tak: *Czym dla pana jest poezja? Czy poezja jest ważna w naszym życiu? Czy lubi pan słowa?*

Nie chodzi o to, że to sprawy nieistotne – ale o to, że ani jedno z tych pytań w najmniejszy sposób nie dotyczy książki, o której pani dziennikarz ponoć robi materiał. Każde z nich dociera do mnie jako czytelny komunikat następującej treści: *Mam właściwie gdzieś, co pan napisał, przyszłam tu, bo ktoś zamówił wywiad, ale nie zadałam sobie trudu, żeby poświęcić te dziesięć minut i przeczytać choćby pięć wierszy z pana książki. Jest ona kompletnie nieistotna, istotny jest zakład krawiecki, kontrabas, fajka. Jedna poetka jeździła dla nas na wrotkach, jeden poeta rozpalał dla nas ognisko, a jeszcze ktoś pluskał się w wannie. I to jest, proszę pana, dziennikarstwo, a nie jakieś tam ślęczenie nad wierszami*.

Pewnie gdybym był starszy, śmielszy, bezczelniejszy, to wstałbym, powiedział: *Proszę, tu jest książka, proszę się przygotować* i poczekał w drugim pokoju. Albo odpowiadałbym: *Tak, poezja jest ważna w naszym życiu. Tak, lubię słowa. Poezja jest dla mnie czymś istotnym* i patrzył, jak pani się wije, szukając kolejnych tematów. Ale jakoś nie zebrałem się w sobie. Może szkoda.

I, żeby było jasne, nie chodzi tu o mnie; ja telewizora od lat nie mam, a nawet jak miałem, to nie lubiłem oglądać na ekranie sa-

mego siebie. Chodzi o uczciwość wobec widzów. Przez trzy lata współprowadziłem w telewizji program kulturalny, ponad sto odcinków – zapadłbym się pod ziemię ze wstydu, gdybym miał rozmawiać z twórcą jakiegoś filmu, książki, przedstawienia, płyty, wcześniej tego nie zobaczywszy, nie przeczytawszy, nie przesłuchawszy. A przecież mógłbym pytać Andrzeja Wajdę: *Czy film jest ważny w naszym życiu?*, Michaela Nymana: *Czy lubi pan nuty?*, a Dubravkę Ugrešić: *Czym jest dla pani literatura?* – nic prostszego; na te ogólnikowe pytania padłyby jakieś ogólnikowe odpowiedzi. Tyle że wtedy sprzedawałbym partaninę tym, dla których pracuję, czyli widzom, którzy może chcieliby się dowiedzieć, co w książkach piszczy, skoro już oglądają ten program.

Dziennikarz jest delegatem społeczeństwa i jego zawodowym obowiązkiem jest zgłębiać to, czym się zajmuje. To nie jakaś tam ozdóbka, to istota pracy. Owszem, w telewizji ważny jest „obrazek", więc jako filmowany poeta mogę posłusznie odgrywać scenki – poza może tą, w której ściągam z półki własną książkę i czytam, na to mam alergię – ale niech to służy jako tło, nie esencja. Esencją literatury jest tekst. Pisany, czytany, śpiewany nawet – ale tekst.

Tymczasem przez kilka ostatnich lat obserwuję z rosnącym zażenowaniem, że nawet w programach kulturalnych, i to poświęconych konkretnie książkom, tekst staje się jakąś, bo ja wiem, wstydliwą tajemnicą („Miły facet, uczynny, ale w sekrecie przed żoną pisze wiersze, dopiero ostatnio się dowiedziała, sprawa rozwodowa w drodze"; „Ładna dziewczyna, ale skończy jako stara panna, bo wydała już dwa tomiki, a kto taką zechce?"). Czymś, co należy możliwie sprawnie wypchnąć poza nawias. Nie mam poczucia, że poeci to arcykapłani sztuki czy duchowi przewodnicy narodu, że wieszczą i trzeba ich traktować jak marmurowe posągi. Mam natomiast poczucie graniczące z pewnością, że poezja jest jednym z instrumentów społecznie nieodzownych, że właśnie poprzez poezję przechodzi jedna z najważniejszych ścieżek komunikowania się społeczeństwa z samym sobą. To

przekaźnik ideałów, dylematów, traum, sporów – tym skuteczniejszy, że niejednoznaczny. Wiersz działa na nas całą swoją warstwą retoryczną, na poziomie umysłu i chłodnej analizy, ale ma też warstwę ważniejszą, niejednoznaczną, bebechową, misteryjną; jest zbudowany ze słów, ale sporo przemyca między słowami. I to właśnie tam, w tej niejasnej przestrzeni, możemy się spotkać pomimo dzielących nas różnic. Bebechami odczuć to, co blokuje nam mózg. Porozumieć się w sprawach najważniejszych.

Ale na to przychodzi pani, która potrzebuje fajki i kontrabasu, bo tak jest ładnie w obrazku. *Mamy całe szesnaście sekund, proszę nam powiedzieć, czym jest poezja?*

Lubimy Czytać, 2014

GRUSZKI NA DĘBIE

Polacy mówią, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, Anglicy – że każda ciemna chmura ma jasny obrys, a Kisiel (wedle innych Lem), że przysłowia są mądrością narodów, które innej mądrości nie mają. Tak czy owak, niesławny wymuszony werdykt, którym przyznano Wojciechowi Wenclowi prezydencką nagrodę „Zasłużonego dla Polszczyzny" oraz towarzyszące temu poruszenie sprawiły, że sięgnąłem tam, gdzie zwykle bym nie sięgał – bo nawet masochizm literacki ma swoje granice – czyli do tekstów laureata. I tak natrafiłem na dendrologiczno-propagandową perłę, czyli felieton *Tysiąc słojów wiary* z „Gościa Niedzielnego".

Zaczyna Wencel od porównania starego i wyciuranego na dziesiąty bok – ale przecież tego właśnie spodziewalibyśmy się po autorze tomu *Epigonia* – a mianowicie do porównania polskiego narodu do drzewa. A konkretnie: do dębu.

Wybór dębu jest, oczywiście, nieprzypadkowy. To symbol Anglii, Niemiec i USA, a Wikipedia, która zawiera najdziwniejsze listy, w tym i listę „narodowych drzew", wykazuje, że różne odmiany dębu wybrało sobie dwadzieścia jeden z siedemdziesięciu dziewięciu wyszczególnionych krajów, w tym Polska. W końcu Lech ujrzał orła w gnieździe uwitym na dębie.

O ile jednostka – taka jak ja na przykład – życzyłaby sobie może subtelniejszego symbolu, wyłuskanego z całego bogactwa fauny i flory tej planety, jakiejś pliszki, bodziszka, sasanki, ryjówki, o tyle naród z reguły wybiera najbanalniej. Dąb jest twar-

dy i potężny, dąb jest królem drzew, tak jak lew jest królem zwierząt, a orzeł – królem ptaków.

Podobnie jak pancernik czy gołębik grenadyjski (godło Grenady), wymarły dodo (Mauritius) ani antylopa (Namibia) nie mają startu do heraldycznych potentatów, tak i brezylka nadobna (Barbados) z dębem przegrywa z kretesem. A szkoda, bo zasłużony dla polszczyzny Wojciech Wencel takich kocopołów, jak o dębie, o brezylce sadzić by nie mógł.

Jeśli są wśród Państwa tacy, którzy zatęsknili za naftalinowo-prześnym zapaszkiem gomułkowskiej propagandy, to spieszę powiadomić, że nie ulotnił się całkowicie – owszem, przewija się tu i tam, ale w felietonie laureata[29] rozkwita tak, że tylko wyglądamy znajomej łysiny i rogowych okularów. Otóż byliśmy sobie tym zasadzonym *w chrzcielnej sadzawce* (ja tego nie zmyślam) prasłowiańskim dębem *w europejskiej dąbrowie*, w którym *dojrzewały żołędzie czynu* (no nie zmyślam, naprawdę!), wszystko było fantastycznie, aż przyszedł zły Niemiec. Nie, nie Adenauer w krzyżackim płaszczu, tylko Sas. Sasi *zaszczepili* na dębie polskim jemiołę.

Jemioły, zasadniczo, się nie szczepi – nie sądzę, żeby było to w ogóle możliwe, bo szczepi się mniej więcej to samo na tym samym, czyli szlachetne, słabsze odmiany danego drzewa na krzepkich dziczkach, a nie gruszki na wierzbie czy jemiołę na dębie. Chyba że jest się Łysenką. Natomiast jemioła się po prostu wysiewa, przeszedłszy przez układ pokarmowy. Ptaka, a nie króla z dynastii Wettynów. Niemniej jednak Sasi *zaszczepili*, wyssali soki życiodajne z dębu i doprowadzili do rozbiorów (to, że szykowali te rozbiory w Targowicy wyinfułowani administratorzy sadzawki chrzcielnej, a jednymi z głównych przyczyn upadku były arcypolskie sobiepaństwo i arcypolska

29 Wojciech Wencel, *Tysiąc słojów wiary*, „Gość Niedzielny" z 19 stycznia 2017.

wolność szlachecka, umknęło widać znamienitemu dendrologowi).

Dalej leci cała litania krzywd narodowych, opisywana jako ciągłe wycinanie drzewa (zdarza się czasem propagandystom, że nie wcelują i tak Wencel idealnie wpasował się w sprzeciw wobec Lex Szyszko; wychodzi na to, że poza felietonem wycinka to dobro i wolność Polaków, a w felietonie – źle i podłość zaborcy). Pień jednak – dowiadujemy się – co jakiś czas ożywał, zwłaszcza dzięki *młodym nonkonformistom*, którzy *przejęli się losem żołnierzy wyklętych* (to są autentyczne cytaty). Ale Donald Tusk – jak ten dziedzic Pruski – znów jemiołę zaszczepił, choć kot-nonkonformista odszczekiwał się z konarów prasłowiańskiej gruszy, tfu, dębu, swoim germańskim prześladowcom. Po czym wreszcie – i tu jest prawdziwy cymes, do którego cały czas byliśmy prowadzeni – zawiązał się *Komitet Obrony Jemioły*. Czy poznajecie Państwo subtelność retoryczną towarzysza Wiesława?

Jest z tym wszystkim pewien problem. I nie chodzi mi o ten najbardziej oczywisty – że kultura polska nie jest żadnym dębem ani monolitem, raczej zagajnikiem luźno złożonym z bardzo różnych, często przywianych z daleka gatunków drzew, a mimo to urosła w całość, która jest osobna i cenna, bogata we własne kody kulturowe, wspaniałe dzieła wyrastające z mieszanki tych wszystkich tradycji. To jest fakt, a fakty propagandzistom tylko szkodzą. Chodzi mi raczej o frajerstwo metafory, która pracowicie idzie od dębu zasadzonego w chrzcielnej sadzawce, a kończy się na ataku na KOJ: otóż laureat Wencel został oszukany.

Winny jest spisek obcokrajowców: Rzymianin Pliniusz Starszy napisał o druidach, że ścinają jemiołę z dębów złotymi sierpami, Francuz René Goscinny, rysował Panoramiksa zgodnie z tymi pradawnymi wytycznymi, a Litwin Mickiewicz włożył w usta klucznika Gerwazego słowa o Tadeuszku: *Jam go zawsze*

do trudnych imprezów podżegał. / Wszystko mu się udało; czy wydrzeć gołębie / na wieży, czy jemioły oberwać na dębie. Słowa wieszcza rzecz święta, zaczęto więc pod koniec XIX wieku szukać dębów z jemiołą, z których chciano zrobić literackie pomniki przyrody, ale ni dudu. Jemioły nie tylko się nie szczepi. Jemioła w ogóle na rodzimych gatunkach dębu nie rośnie.

Polityka, 2017

GROZA ISTNIENIA W TRZECH KOLUMNACH

W roku 1879 w Warszawie ukazało się siódme, *przejrzane i poprawione przez N. Delaroix i W. Fechta* wydanie rozmówek: *Nowy Komeniusz, czyli pierwiastki konwersacyi polskiéj, francuzkiéj i niemieckiéj, obejmujące: 1. Zupełny zbiór wyrazów i wyrażeń najużywańszych w stosunkach towarzyskich. 2. Wzory potocznéj konwersacyi. 3. Gramatyczne początki trzech wymienionych języków*.

Autor, Wiktoryn Zieliński, nie żył wówczas od lat trzynastu, autor zaś pierwowzoru – ilustrowanego *Orbis pictus* – czeski pedagog Jan Amos Komeński, od ponad dwóch wieków. Na ostatniej stronie drobnym drukiem stoi: *Składał czcionkami w drukarni Józefa Ungra – Bernard Wagmajster* i trzeba przyznać, że był to majster z prawdziwego zdarzenia, *Nowy Komeniusz* jest bowiem składany w trzech kolumnach. Od lewej: po polsku, francusku i niemiecku (inną, gotycką czcionką). Przede wszystkim jednak Bernard Wagmajster na stronach książeczki liczącej nieco ponad trzysta stron musiał złożyć – słowami wybranymi przez Zielińskiego – świat cały.

I tak też się zaczyna: *Świat. Le monde. Die Welt*, a pierwsze strony tego praktycznego przecież, niepozornego w gruncie rzeczy dziełka mają – może za sprawą biskupa Komeńskiego – ambicje bez mała biblijne: *Świat zawiera niebo i ziemię. Na niebie widzimy słońce, księżyc i mnóstwo gwiazd. Obłoki są zawieszone w powietrzu. Ptaki latają pod obłokami. Ryby pływają w wodzie. Na ziemi znajdują się: góry, lasy, pola, zwierzęta, ludzie*. Oto zostało

nazwane i istnieje, istnieje po trzykroć, po polsku, francusku i po niemiecku.

Przy czterech żywiołach nie opuszcza autora patos Koheleta: *Ogień świeci, pali i obraca w popiół, co się weń włoży. Iskra, którą się wydobywa z krzemienia za pomocą stali, zaświeca wszystko, co palne, i wznieca się płomień i często też pożar, który pochłania domy. [...] Na ostatku co pozostanie* – kończy dramatycznie – *jest tylko popiołem*. Może *Powietrze* będzie człowiekowi przyjaźniejsze? *Powietrze lekko powiewa. Wiatr silnie wieje. Burza obala drzewa. Wiatr podziemny sprawuje trzęsienie ziemi. Trzęsienie ziemi czyni zapadliny*. Grożą również *Obłoki*: *Wyziewy siarczyste sprawują grzmot, który wypada z obłoków z łoskotem, i błyskawicę. Grzmi, błyska się i piorun uderza*.

Z początku zwracałem uwagę na zabawne rozbieżności między czasami tamtymi a naszymi (*Mój zegarek idzie dobrze; zregulowałem go podług słońca* czy *Na kolację zjadłem tylko parę skowronków*), ale zorientowałem się, że kryje się tam coś znacznie ciekawszego. Cały *Nowy Komeniusz*, choć wspomina przecież o tęczy i o śpiewie ptaków, aż roi się od zwrotów, które dziś nie pojawiłyby się w rozmówkach, które w ogóle w towarzyskiej *konwersacyi* nie powinny padać ani po polsku, ani po francusku, ani po niemiecku.

Już sam rozdział *Choroby i ułomności* ciągnie się przez stron osiem. Zaczyna się od: *Mieć kolkę, ból głowy, migrenę, ból zębów, ból gardła, ból żołądka, słabości dziecinne, morska choroba, tęsknota za krajem, katarakta, ból oczów, krwotok z nosa*, i leci dalej przez: *zyzem patrzeć, womity, garb, rudy, dziobaty, włosisty na ciele, rozpadliny na ustach, trąd, piegi aż po febra co cztéry dni, febra co trzy dni, febra żółciowa*. Życie jawi się oto w *Nowym Komeniuszu* jako ciąg mniejszych i większych dramatów, w których słabości ciała zdecydowanie należą do najpowszechniejszych. Bywa skromnie: *Jak się ma Pani Forel? / Jest trochę niezdrowa od onegdaj. / Cóż jéj jest? / Ma katar. / Przykro mi to. / Gdzie ona dostała tego kataru? /*

Na maskaradzie. Nieco dalej: *Czy odebrano jakie ważne wiadomości z poczty francuzkiéj. / Powiadają, że król Francuzów jest chory*. Ale już w rozmówce o samopoczuciu po: *Co ci jest? Smutno wyglądasz. Mizernie wyglądasz. / Wziąłem lekarstwo*, zostają wytoczone poważne działa: *Pan Grimm jest niebezpiecznie chory. On jest bez nadziei. On jest od lekarzy opuszczony. Jeśli umrze, będzie to wielka strata dla miasta. On sam trzy liczne rodziny utrzymuje*. Niebawem dowiadujemy się zresztą, że był to jednak niezły ancymon: *Co się stało z Panem Grimm? / Zemknął. Uciekł. Zniknął. / Nie byłbym sądził, aby mógł był to zrobić. / Jego długi dochodzą do blizko 50,000 talarów*. Z kolei *Pani Grimm pojechała dziś rano do Londynu. Ona jedzie po swoją siostrzenicę, któréj matka umarła*.

Nawet jeśli jakaś rozmówka zaczyna się pogodnie, śmierć czai się w każdym kątku: *Moje pomieszkanie składa się z trzech pokojów. Słońce przez cały ranek świeci w moim pokoju. Mój gabinet wychodzi na podwórze. Mój salon wychodzi na ogród. O małom nie upadł. Ona o mało nie umarła*. W pozornie niegroźnych wymianach zdań nagle pojawia się szczegół, który nas wytrąca z równowagi: *Strzeż się, aby cię nie widziano*. Albo: *Ach, już po mnie! Wszystkie moje nadzieje zniszczone. Zniweczone jego projekta*. Czy taki kawałek: *Już miałem popłynąć do Anglii, kiedym się dowiedział, że Elba zupełnie zamarzła. Śniło się jéj, że była blizką śmierci. Gdy przyszedłem, ona była blizką omdlenia. [...] Ona mnie oczerniła przed moim stryjem*. Albo: *Cóż on ci powiedział? / Przechadzał się wzdłuż i w szerz. Zdawał się, jakoby odebrał jakąś zadziwiającą i straszną wiadomość. Od czasu do czasu wykrzykiwał: Jestem w rozpaczy!*

Świat, w którym mieli ze sobą rozmawiać czytelnicy *Nowego Komeniusza*, wydaje się w jakimś sensie prawdziwszy od naszego – poważni, wbici w surduty młodzi ludzie winni się byli nauczyć, że jeśli ktoś otwiera usta, to niech mówi o rzeczach albo potrzebnych, jak kolacja czy szuwaks, albo poważnych, jak śmiertelna choroba pana Grimma. Istny ciąg katastrof, zamieszczony w jednym z rozdziałów, kończy się dramatyczną frazą, jakiej

spodziewalibyśmy się raczej po jakimś bohaterze Maeterlincka albo Bergmana niż po błahych rozmówkach: *Wszczął się ogień u jednego piwowara. Piorun uderzył téj nocy i zabił jednę kobiétę na Krakowskiém Przedmieściu. Wczoraj zapadł się dom w Starém Mieście. Mur obalił się. Zdaje się. Spostrzegam to. Nic nie pojmuję. Nic z tego nie rozumiem. Uwolnij mnie od tego*.

Bo grozę istnienia można znaleźć w najmniej oczekiwanych miejscach.

Polityka, 2016

„Nie wierzysz, że to wszystko? Masz rację!
To był darmowy fragment zbioru kilkudziesięciu felietonów.
Jeśli chcesz się uśmiać, wzruszyć,
oburzyć i przeczytać wszystkie,
zapraszamy do nas:"

www.heca.art

Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca